

Romans, którego nie ma

ROMANS malajski! Co za wspaniały, pełen sarkazmu i gorzkiej ironii tytuł dla silnej w swej treści sztuki australijskiej pisarki, **Mony Brand**. Dodajmy, że nadała go utworowi **Irena Babel**, tłumaczka, a z kolei i reżyserka sztuki. Tytuł oryginału — „**The Strangers in the Land**” brzmi bardziej prozaicznie: Cudzoziemcy w kraju, może okupanci, czy najeźdźcy. Żadne z tych określeń nie pasuje do utworu tak doskonale, jak ów „romans malajski”. Dziwny i straszny to bowiem zaiste romans, w którym płynie krew niewinnych, padają oskarżenia pełne mocy i bólu, a romansu właściwie nie ma zupełnie, bo i jakże być może w ukazanych przez pisarkę, a wiemy skądinąd, jak prawdziwych — warunkach?

Polska prapremiera tej sztuki na poznańskiej scenie dowodzi niewątpliwie słuszności ambicji teatru. Ukazać mało znany naszemu społeczeństwu problem wyszuku stosowanego przez kolonizatorów brytyjskich na Malajach, zarysować tło ruchu wyzwoleńczego, a jednocześnie dać na przykładzie utworu **Mony Brand** przykład, jak słuszna tendencja polityczna nie przeszkadza, lecz pomaga, by dzieło literackie mogło uzyskać dużą rangę artystyczną — to decyzja ze wszech miar słuszna i godna uznania.

„Romans malajski” w konstrukcji swej jest typowy dla silnie objawiającej się w dramaturgii anglosaskiej konwencji sztuk scenicznych, w których główny nacisk kładzie się nie na akcję, ale na dialog i zawarty w nim komentarz konkretnych wydarzeń. W sztuce **Mony Brand** na scenie mało się dzieje, o wieksości wypadków dowiadujemy się z pośredniej relacji. A mimo to wstrząsa ją one bardzo silnie, trafiają głęboko do uczuć odbiorcy. Wypluwa to ze zwartości i wartości dialogu, z umiejętności stopniowania napięcia, zręcznego przechodzenia z jednych kadencji nastrojowych w drugie. W sztuce nie ma patosu, nie ma szumnych deklaracji. Po prostu młoda, uczciwa i zakochana Angelka przy-

bywa do narzeczonego, świeżo kreowanego właściciela plantacji kauczukowej. Wrażliwymi, czystymi oczyma dostrzega bezmiar zła, zanik uczuć moralnych, poddanie się jedynie rządzy zysku i czerpanie siły z nienawiści. Miłość przesłania jej początkowo pewne fakty, rozpaczliwie szuka wytłumaczenia, prawda jednak jest bezlitosna. A jeszcze w pamięci żywa jest pamięć pary hinduskiej, spotkanej w czasie podróży na Malaje, pary pięknej, miłującej innych ludzi. Ta para staje się niejako symbolem innego, pięknego świata, wspomnienie o niej dopomaga do powzięcia ostatecznej decyzji: wyrażenia protestu przeciw temu, co na plantacjach się dzieje, odrzucenia miłości do człowieka, który zawiodł — i nie tylko jej, ale i jego — i odjazdu ze świadomością, gdzie właściwie jest miejsce uczciwego obywatela Imperium Wielkiej Brytanii, słów, które w pewnym momencie padają ze sceny nabrzmiały straszną ironią.

Utwór **Mony Brand** ma wiele siły, uzbrojony jest w logikę opartą na kryteriach oceny moralnej, przekonuje i wstrząsa. Oczywiście, sztuka ta nie jest arcydziełem. Nie trudno wytknąć w niej pewne braki, czy to konstrukcyjne, czy logiczne, jak choćby wtedy, gdy autorka dla ułatwienia sobie ostatecznych rozwiązań, przypisuje władzom brytyjskim na Malajach niemal wszechwładzę o zamierzeniach patriotów malajskich. Istotne walory sztuki z nadstatkiem jednak pokrywają pewne jej niedomogi.

JAK WIELE ZALEŻY OD REŻYSERA...

IRENA BABEL, głośna ostatnią ze swojej reżyserii „Kaukaskiego kredowego koła” Brechta w teatrze krakowskim, odzna czono nagrodą państwową, zaproszona została do Poznania dla reżyserii przetłumaczonego przez siebie utworu. Niewątpliwie zaważyło to w sposób bardzo zdecydowany na poziomie przedstawienia. Dobrą robotę reżyserką z ręką na każdym kroku. Wypunktowanie sy-

acyjne, umiejętne stopniowanie nastroju, pełnia każdej postaci, równy, bez dłużyń i zahamowań tok akcji, wreszcie ogólny bardzo wyrównany poziom gry całego nieomal zespołu — zaliczyć trzeba niewątpliwie do sukcesu reżyserii. „Romans malajski” ma pewne chropowatości i kilka momentów trudnych scenicznie, szczególnie przy obrazach zbiorowych, gdzie brak doświadczenia reżyserskiego mógłby zepsuć spójność przedstawienia. **Irena Babel** umiała te niebezpieczeństwa pokonać, jednocześnie zaś przekonać cały zespół do wspólnej koncepcji gry. Dlatego można się tak dodatnio wyrażać i o wykonaniu aktor-
skim.

Wspomniał już **Leszek Prorok** w „Gazecie Poznańskiej” o konieczności częstszego korzystania z reżyserskich występów gościnnych na naszych scenach. Na „Romansie malajskim” mamy najlepszy przykład, ile wtedy można wydobyć z naszego zespołu aktorskiego. Dlatego apel o częstsze zapraszanie doświadczonych reżyserów z zewnątrz należy poprzeć jak najgoręcej.

PIĘKNY TRUD AKTORA

WYRÓWNANY poziom gry całego zespołu, przestudiowany dokładnie rysunek psychologiczny każdej kreowanej postaci, naturalność rozwiązań sytuacyjnych — to rezultat zgranego wspólnego wysiłku aktorów i reżysera. Oczywiście, nie wszystkie role dawały możliwość pełnego „wygrania się”, w każdej jednak znać było duży wysiłek aktorski. I to jest bardzo pocieszające, zwłaszcza po nie tak dawnym okresie, kiedy to wiele ról drugoplanowych było wyrażnie „puszczonych...”

Na czoło wybijają się **Aleksander Sewruk** w naprawdę doskonałej kreacji **Senga Lee**, jedynego reprezentanta strony malajskiej na scenie. **Gra Sewruka** wymaga specjalnego omówienia, tutaj niech nam wolno tylko będzie złożyć mu serdeczne gratulacje.

Z kobiet wiele cieplejych słów należy się **Aleksandrze Koncewicz**. Jej **Krystyna** była bardzo prawdziwa i przekonująca, co wcale nie jest takie proste, jeżeli się uwzględni różnorodność nastrojów, jakie musi oddać aktorka w tej roli. Chciałbym przy tej okazji specjalnie podkreślić pewną sprawę, dosyć zaniedbaną w naszym teatrze, mianowicie potrzebę pieczołowitej troski o dykcję. A tutaj

Koncewicz była właśnie wzorem, jak starannie należy dbać o głos, jak wykształcać umiejętność jego modelowania i jak interpretować każde słowo swej roli.

Trudno byłoby omawiać grę wszystkich wykonawców, niemniej choć parę słów chciałbym jeszcze poświęcić **Annie Korczak** i **Zenonowi Burzyńskiemu**. **Rola Anny Korczak** jako **Nan Price** jest niewielka, ale wyjątkowo trudna i aktorsko nie nazbyt wdzięczna. Prawie bez słów trzeba ukazać dramat wewnętrzny kobiety, która buntując się wewnętrznie przeciw złu, jakie ją otacza, nie ma odwagi walczyć z nim, tłumii ból w sobie, doprowadzając się do rozstroju nerwowego; tylko w momencie ostatecznej rozpaczyny zdobywa się na wypowiedzenie słów prawdy. **Anna Korczak** pokazała to z umiarem i pełną głębią przeżycia, co należy szczególnie podkreślić.

Zenon Burzyński zaskakuje nas każdą swą nową rolą. Już w sztukach **Korcellego** i **Mali-szewskiego** zwracał na siebie uwagę dużym wyrobieniem i wrażliwością aktorską. Każda rola wyrażnie jest przez niego przeżywana. Trudną postać **John Gifforda**, poczciwego wykojeńca, człowieka uczciwego, ale przez brak siły charakteru rozpiłkowanego, cynizmem broniącego się przed okrucieństwem świata, w jakim przebywa — ukazał z wielką głębią psychologiczną. **Prorok** w swej ciekawej recenzji stawia pytanie, co trzyma **Gifforda** na Malajach, skoro buntuje się przeciw całemu postępowaniu plantatorów? Odpowiedź jest chyba jasna: słaby charakter, wyzucie z wszelkiej woli, swoisty sybarytizm życiowy. Postać to bardzo śmiała, krojona przez **Mony Brand** na wzór omalże **conradowski**, nieco jednakże nie dorysowana: zabrakło widocznie autorce wielkiego oddechu... **Burzyński** gra świetnie, jakże wzrusza i kondensuje na sobie sympatię, a zarazem i politowanie widowni. Ta postać nie jest przypadkowa w sztuce, służy dla wypowiedzenia pewnych własnych sądów autorki, jak również obrazuje i system kolonizatorski, gdzie dzieła wyzysku dokonują nie tylko ludzie energiczni, pozbawieni skrupułów moralnych, ale także i w gruncie uczciwe jednostki, lecz wykojeńskie, zwicnięte, pozbawione własnej woli i siły przeciwdziałania złu.

Mocna to sztuka „Romans malajski” i udana artystycznie pozycja w dorobku naszych teatrów.